

Brindisi 1945

Dakota dotknęła kołami pasa i podkołowała pod jakiś skromny budynek. Otwarto drzwiczki i do środka buchnęło gorące mimo wczesnej pory powietrze. Natychmiast zapanował wielki rwetes: wysiadali pasażerowie, jacyś uzbrojeni ludzie w polskich mundurach przejmowali ich i uwozili w sobie tylko znanym kierunku. Wkrótce jednak zapanowała cisza. Kotwicz zszedł ostrożnie ze schodków i jakby obawiając się czegoś postawił stopę na betonie pasa startowego.

- *Welcome to the free world!*- usłyszał za sobą tubalny głos nowozelandzkiego kapitana. Uśmiechnął się: jeszcze niedawno musiał liczyć się z każdym słowem i uważać na Palitzscha, Hössa, Grabnera... Teraz to już było poza nim. Wciągnął w płuca rześkie, morskie powietrze, kiedy nagle dostrzegł grupkę lotników przy obłożonym podwoziu samolotu. Jeden z nich wyciągnął scyzoryk i z największym nabożeństwem odłupał sporą grudkę ziemi po czym zawinał ją starannie w chusteczkę i schował do kieszeni jakby zawstydzony.

Kotwicz otworzył usta, żeby to skomentować, gdy nagle zza ogona Dakoty wypadł jeep i zatrzymał się z piskiem opon. Kapral w mundurze żandarmerii wojskowej pochylił się nieznacznie do przodu i przekrzykując silnik krzyknął:

- Porucznik Topór? Jest tu taki?! Topór?!

Kapitan, schowawszy właśnie chusteczkę do kieszeni położył dłoń na ramieniu Kotwicza, który otworzył już usta, żeby odpowiedzieć kapralowi. Niespiesznie podszedł do auta i przyglądając się zdumionym wzrokiem kierowcy wyrwał kluczyki ze stacyjki.

- Czy wasze zakute, żandarmskie łby rozróżniają szarże?! Czy ty kurwa myślisz, że jesteś w burdelu u Dolores czy masz zaszczyt zwracać się do oficerów Polskich Sił Zbrojnych?! Czy wam, kapral, włoskie słońce wypaliło do szczętu mózg? A może macie tu za dobrze, bo widzi mi się, że spośród rzeczy, które w życiu wachaliście z pewnością nie było jeszcze prochu?! Czy w końcu dźwigniesz dupę z tego jeepa czy mam ci kurwa pomóc?! Kapral, zameldować się dopóki jeszcze jestem dobry do kurwy nędzy!!!

Żandarm z odstającymi uszami potrzebował chwili zanim do niego dotarła nieoczekiwana zmiana sytuacji. Wyskoczył w końcu z auta i zasalutował:

- Panie kapitanie, kapral Karaś melduje, że... że mam rozkaz przywieźć porucznika Topora...

- Dokąd?!

- Posłusznie melduję, że do kapitana Okonia.

- O ja pierdołę, do tej cioty?- pilot uśmiechnął się w stronę pozostałych oficerów, którzy odpowiedzieli złośliwym rechem. Kapitan podszedł do Kotwicza i wyciągnął rękę:

- Pan pozwoli poruczniku, Kwiatkowski, kapitan Kwiatkowski, 301 dywizjon specjalnego przeznaczenia.

- Dec, porucznik Dec, kiedyś latałem w 301... Dawne dzieje.

- Pan wsiądzie, podrzucę pana. A ty- zwrócił się do kaprała- będziesz naszą forpocztą. Zapierdalaj truchtem przed jeepem i w razie napotkania wroga osłaniaj nas. Masz broń?

Kaprał pojął ironię, ale broni nie miał. Bezradnie rozłożył ręce.

- To będziesz strzelał z gumy od majtek. W tył zwrot! Naprzód biegiem marsz! Jeep przejechał nieśpiesznie przez pas startowy na drugi koniec lotniska, kiedy nagle tuż nad nimi przeleciał ogromny, czterosiłnikowy Halifax z polskimi szachownicami na dziobie.

- Nasi, z Anglii... - kapitan Kwiatkowski przekrzykiwał ryk czterech potężnych silników.

-Jak pan załatwi u tej cioty to prosimy do kantyny, my zabierzemy córeczkę na śniadanie, powinni mieć tam trochę mleka?- zapytał sam siebie z troską w głosie.

W tym momencie dobiegł kaprał. Czerwony z wysiłku i mokry od potu stanął na baczność. Kapitan Kwiatkowski pokiwał ze współczuciem głową, rzucił mu kluczyki i nieśpiesznie poszedł w stronę kantyny. Tymczasem żandarm obrzucił Kotwicza baczny spojrzeniem: niby oficer, ale poza butami nic na to nie wskazywało: szare bryczesy, koszula, kamizelka włóczkowa i jakaś nieokreślonego koloru marynarka; kaprał Karaś nie mógł jednak zbagatelizować tego cywila, wyczuwał w nim coś, co mieli ci sztabowi oficerowie od Andersa albo ci, którzy przylecieli z Anglii...

Zapukał i wyrecytował przełożonemu wykonanie zadania, po czym milcząco pozwolił Kotwiczowi wejść do środka i zamknął za sobą drzwi. Topór znalazł się w mrocznym pomieszczeniu z szafą, półką na segregatory i biurkiem, za którym siedział kapitan Okoń. Podszedł bliżej i stuknął obcasami, lecz tamten wciąż był pochłonięty pisaniem. Wobec tego Kotwicz, rozejrzawszy się po pokoju przysunął sobie krzesło, usiadł przy biurku i przyjrzał się kapitanowi. Był to przystojny mężczyzna, dużo młodszy od Kotwicza. Ubrany w dobrze skrojony mundur, z wypolerowanymi na

błysk oficerkami; również jego oficerski pas i koalicyjka lśniły nowością. Całości dopełniały przydługie, ciemne włosy zaczesane na brylantynę i mocny, koloński zapach bijący od Okonia, który spojrzawszy wreszcie na Kotwicza uniósł brwi w zdumieniu i rozłożył ręce w geście bezradności:

- Zdaje się, że nie prosiłem, aby pan usiadł, poruczniku... - spojrzął na teczkę z dokumentami-... Topór?

Kotwiczowi wydało się, że wymówił jego pseudonim z pewną dozą ironii. Mimo to wstał z krzesła i odstawił je powoli czekając na dalszy rozwój wypadków. Znad głowy kapitana patrzył na niego z portretu nowy Wódz Naczelny.

„Dobrze, że nie Reichsfuhrer”- Kotwicz przypomniał sobie pierwszą wizytę i przesłuchanie w biurze Hössa. Też musiał wtedy stać przed biurkiem...

Tymczasem wypolerowany kapitan Okoń zwrócił łaskawie wzrok w kierunku gościa. Chwilę przyglądał się jego niecodziennemu jak na tutejsze warunki wyglądowni, aby w końcu zapytać:

- A więc, czemu zawdzięczamy pańską wizytę... – klasnął dłonią o szarą teczkę i uśmiechnął się pod starannie przyciętym wąsikiem-... poruczniku Topór?

Kotwicz spojrzął na niego zdumiony:

- Nie rozumiem, panie kapitanie...?

- Naturalnie; powiem wobec tego prościej: po co zajął pan cenne miejsce w naszym samolocie lecącym z takim poświęceniem do kraju?- kapitan otworzył szarą, tekturową teczkę zawiązywaną na tasiemki.

- Porucznik Topór, cichociemny... zrzucony do kraju... zadanie w Oświęcimiu... - kapitan oderwał się od studiowania teczki spreparowanej niewątpliwie na potrzeby takich fachowców jak on.

– Ciekawe, jakież to mogło być zadanie w takim spokojnym Oświęcimiu, nie było już ciekawszych miejsc?!- Sięgnąwszy po Chesterfielda wyciągnął się znudzony w swoim fotelu.

– No wiec, poruczniku... - znów rzut oka na teczkę-... Topór... co pana tu sprowadza?! Dowiem się?!

Kotwicz spojrzął zdumionym wzrokiem na kapitana:

- Pan... oczywiście żartuje sobie ze mnie, panie kapitanie? Przecież pan wie lepiej ode mnie?

Kapitan Okoń zaciągnął się papierosem wykazując ostentacyjnie brak zainteresowania

– Nie, może mnie pan oświeci poruczniku- odparł spoglądając zniecierpliwiony na zegarek.

- Zapewne musiał pan słyszeć o projekcie sztabowców z Londynu? Może pan nie pamięta, ale po odzyskaniu niepodległości w osiemnastym roku nasza kadra składała się z oficerów pochodzących ze wszystkich zaborów. To naturalnie stwarzało antagonizmy, ci są lepsi, ci gorsi, no wie pan, panie kapitanie? Wojna wkrótce się skończy, i aby tego ponownie uniknąć w Londynie powstała komórka przy sztabie Naczelnego Wodza. Zajmują się niwelowaniem różnic w armii przyszłej, wolnej Polski. Krótko mówiąc, wysyłają sztabowców stąd do Polski i odwrotnie- oficerów AK przysyłają tutaj...

Kapitan Okoń przestał zaciągać się papierosem tylko słuchał. Skorzystał z tego Kotwicz. Przysunął sobie krzesło i zanim usiadł wyciągnął z paczki Chesterfieldów jednego papierosa, po czym zwrócił się do kapitana z niewinnym uśmiechem:

- Ma pan ogień?

Nie doczekawszy się odpowiedzi przypalił sobie sam i kontynuował:

- Otóż powiem panu szczerze, że w partyzantce trudne życie. A już szczególnie tam, gdzie pana zrzucą: do oddziału majora Ponurego.

- Co?! Kto mnie zrzuci?!- kapitan Okoń pochylił się do przodu aby lepiej słyszeć.

- Nasi, dywizjon specjalnego przeznaczenia pana zrzuci, ale najpierw musi pan przejść kurs spadochronowy. Współczuję panu, kapitanie. Tam dają ostro w dupę...

Tak... Zresztą, ten major Ponury... nerwowy trochę. A, sam pan zobaczy... Tak...

Wie pan, kapitanie, cieszę się, bo partyzantka to ciężki kawał chleba... - Kotwicz zadumał się, spoglądając na wypucowanego kapitana

- Najgorsze, że człowiek chodzi w tych samych gaciach tygodniami, nie ma gdzie się umyć... Uwierzy pan, kapitanie? Po tym wszystkim obiecałem sobie, że codziennie

po pracy tutaj będę szedł wykąpać się w Adriatyku! Tak... I będę popijał młodym winkiem... Nigdy więcej bimbru! Łeb pęka jeszcze po dwóch dniach! No ale jak pan

napatrzy się na te amputacje na żywca... na te flaki na wierzchu... to jak nie wypić?! Taaa... Partyzanckie życie... do najłatwiejszych nie należy.. No i oczy trzeba mieć

dookoła głowy, dzień i noc, bo szwab nie śpi... Taaa... . A kobitki?

Kapitan Okoń podniósł z zainteresowaniem głowę.

- O nich zapomnij pan! Pozostaje... sam pan wie, co mam panu mówić, kapitanie...

Dlatego... - Kotwicz zaciągnął się papierosem-... dlatego muszę znaleźć sobie

jeszcze dziś jakąś cycatą Włoszkę!- Kotwicz mrugnął porozumiewawczo do kapitana Okonia

- Nie będę się oszczędzał! – zapewnił.

Kapitan jakby stracił wigor, ale starał się tego nie okazywać. Jakoś odeszła mu ochota na Chesterfielda, którego zgniótł w popielniczce. Nie uszło to uwagi Kotwicza.

- Fajki... niech pan się napali do woli, bo w lesie tylko machorka... Drapie w gardło, jak kto nieprzywykły.

Na czoło kapitana Okonia wystąpił pot. Pomyślał chwilę i chwycił za słuchawkę.

- Kto to wymyślił?

- Pułkownik Kotwicz ze sztabu Naczelnego Wodza w Londynie jest koordynatorem całego przedsięwzięcia. Ale... jeśli mogę panu coś poradzić kapitanie, niech pan nigdzie nie dzwoni...

W tym momencie na korytarzu rozległy się jakieś głosy, drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadł długouchy kapral Karaś. Ale zanim zdążył wykrztusić coś z otwartych ust, odskoczył na bok jak piłka. Za nim pojawiło się dwóch krępych podoficerów ubranych w battledressy i w szarych beretach. Kapitan Okoń zerwał się oburzony ze swojego fotela, otworzył usta i w tej pozycji pozostał, gdyż do pokoju wkroczył major z naszywką „Commando” na ramieniu, jak ci dwaj. Przystanął na chwilę i widząc Kotwicza rozpromienił się. Ignorując zupełnie kapitana Okonia podszedł do zaskoczonego człowieka w wyświechtanej marynarce, trzasnął obcasami i nie odrywając ręki od szarego beretu wyrecytował:

- Pułkowniku Kotwicz, major Kamiński melduje swoje przybycie! Mam rozkaz od Naczelnego Wodza dostarczyć pana jak najszybciej do Londynu! Witamy w wolnym świecie!

Zakłopotany Kotwicz uśmiechnął się i podał rękę Kamińskiemu.

- Witaj stary! Widziałem, jak łądowaliście! A więc znowu razem?!

- Tak jest panie pułkowniku! Teraz zabieram pana do hotelu, a jutro rano lecimy przez Gibraltar do Londynu. – dopiero teraz major Kamiński zwrócił uwagę na kapitana Okonia, który stał w postawie zasadniczej starając się zrozumieć cokolwiek z tego co działo się przed jego oczami.

- A to kto?!

Kotwicz spojrział na Okonia:

- A, to kapitan Okoń, leci wkrótce do oddziału majora Ponurego, do Polski... Cóż, kapitanie, myślę, że w tej sytuacji przyspieszę pański transfer... Do zobaczenia w wolnym kraju!-

Kotwicz odwrócił się i wolno opuścił pokój wciąż stojącego w postawie zasadniczej kapitana Okonia.